Natalia Iwaszkiewicz

# Żyję na własny rachunek

**Joanna** z domu **Jaraczewska Onyszkiewicz** przyszła na świat w Londynie niemal dokładnie w piętnaście lat po śmierci swego dziadka **Józefa Piłsudskiego**. Była kilkunastoletnią dziewczynką, gdy po raz pierwszy przyjechała do Polski na wakacje. Już wtedy wiedziała, że wcześniej czy później wróci tu na zawsze, choć wydawało się to wówczas, w połowie lat sześćdziesiątych, nierzeczywistym pragnieniem.

...Kiedy nieznajomi ludzie pytają mnie, a co właściwie pani robi, odpowiadam bez zmrużenia oka: prowadzę rodzinny biznes... Milkną wtedy, popatrując na mnie z pewnym niedowierzaniem. A to jest szczera prawda. Mamy pięcioro dzieci: najstarsza córeczka skończyła trzynaście lat, najmłodszy synek cztery. Proszę sobie wyobrazić dzień powszedni: dwoje dzieci chodzi na pierwszą zmianę do szkoły, dwoje na drugą. Jedni jedzą śniadanie i pakują tornistry, drudzy odrabiają lekcje, tamci wychodzą, tym trzeba podać wcześniejszy obiad. A czterolatek przez cały czas nie pozwala zapomnieć na chwilę o tym, że po prostu jest... Tu pranie, tam zakupy... Jedno kichnie, zakatarzone jest drugie... Słowem, zajęć od świtu do nocy nie brakuje. Mąż pomaga mi jak może, uwielbia dzieci, ale sam czasu ma niewie-

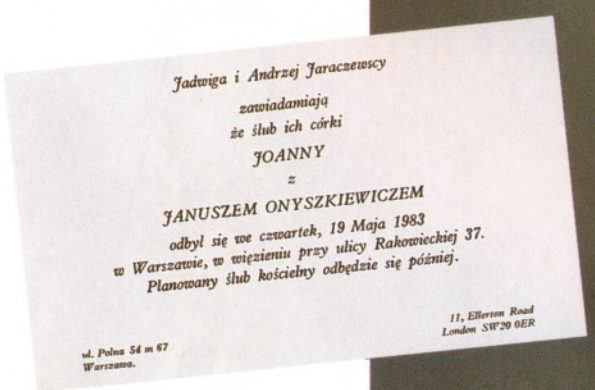

*Jadwiga i Andrzej Jaraczewscy*
*zawiadamiają*
*że ślub ich córki*
*JOANNY*
*z*
*JANUSZEM ONYSZKIEWICZEM*
*odbył się we czwartek, 19 Maja 1983*
*w Warszawie, w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej 37.*
*Planowany ślub kościelny odbędzie się później.*

*11, Ellerton Road*
*London SW20 0ER*

*ul. Polna 54 m 67*
*Warszawa.*



40

le. Jest posłem, politykiem, całymi dniami bywa poza domem, nieraz wyjeżdża, często wraca nocą do domu. Zajmuję się domowymi inwestycjami, prowadzę finanse, planuję wakacje. Moja mama, Jadwiga Jaraczewska, i jej siostra, ciocia Wanda Piłsudska, obie już niemłode, także potrzebują naszej uwagi, troski. Właśnie ostatnio przeprowadziłam ciocię Wandę tu, na Mokotów. A mój brat Krzysztof, który szczęśliwie sąsiaduje z nami nieomal przez ścianę, znalazł w pobliżu mieszkanie dla mamy. Dzięki temu kontakty rodzinne, te codzienne, są łatwiejsze. Muszę dodać, że mam w domu do pomocy cudowną panią, bez której byłabym zamknięta w czterech ścianach. Tymczasem wciąż napływają z różnych stron kraju zaproszenia, by przyjechać na odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci dziadka lub jego

Fot. Andrzej Świetlik

# Żyję na własny rachunek

*Marszałek Józef Piłsudski z córkami: Wandą (od lewej) i Jadwigą; lata dwudzieste*

żołnierzy, pomnika, nadanie jego imienia szkole, bibliotece, ulicy. Wiele jest również rocznic, których organizatorzy pragną widzieć na uroczystości przedstawicieli rodziny Piłsudskich. Ciocia Wanda ze względu na stan zdrowia, jest po kilku wylewach, nie może tych zaproszeń przyjmować. Mama też musiała ograniczyć wyjazdy, poza Warszawę właściwie się nie rusza... Te skądinąd naprawdę wzruszające obowiązki spadają więc na mnie i na brata. Boleję nad tym, że nie tak często jak bym chciała mogę się z nich wywiązać... Bo akurat któreś z dzieci zachoruje albo nie ma z kim zostawić mojej gromadki na noc, ponieważ mąż nagle wyjechał za granicę... Przykre jest niekiedy to, że moje argumenty nie zawsze trafiają zapraszającym do przekonania... czują się zawiedzeni, a nawet urażeni.

•

Babcia Aleksandra z córkami Wandą i Jadwigą pierwsze tygodnie września 1939 spędziły w nękanej niemieckimi nalotami Warszawie. Niosły pomoc rannym, osieroconym dzieciom, bezdomnym. Kiedy Niemcy stali już u bram stolicy, postanowiły wyruszyć do Kamiennego Dworu, malutkiego majątku w Białostockiem. Babcia miała zamiar urządzić tam szpital dla rannych na froncie lub ewakuowanych z Warszawy. Na miejscu okazało się, że wojna dotarła już i do tego sielskiego zakątka. Najeźdźcy zaciekle bombardowali okolice. Po kilku dniach ruszyły więc w dalszą drogę, do Wilna. Gdy nadeszła wiadomość, że wojska sowieckie zbliżają się do miasta, postanowiły za namową krewnych i przyjaciół przedostać się do Kowna, a stamtąd przez Rygę i Sztokholm do Londynu. Wtedy jeszcze wydawało się, że pobyt na obczyźnie nie potrwa długo...

Los zetknął moich rodziców w 1943 roku. Oboje byli wtedy w mundurach. Ojciec, Andrzej Jaraczewski, walczył jako oficer polskiej marynarki wojennej pod dowództwem Brytyjczyków. Mama nosiła mundur lotniczy. Wcześniej zaczęła wprawdzie studiować architekturę w Cambridge, przerwała jednak naukę, gdy okazało się, że może także pomagać sprzymierzeńcom. Przed wojną pasjonowała się szybownictwem, marzyła o lataniu. Po długich staraniach przyjęto ją do ATA, Air Transport Auxiliary, dostarczającego samoloty różnego typu, głównie bojowe, z fabryk na lotniska i między lotniskami. Rodzice pobrali się w 1944 roku. W jakiś czas potem mama wróciła na studia i ukończyła je w Polskiej Szkole Architektury i Urbanistyki w Liverpoolu. Ciocia Wanda w tym czasie studiowała medycynę, a jako specjalizację wybrała psychiatrię.

•

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień: imieniny babci Aleksandry. Miałam wówczas nie więcej niż pięć lat, i zupełnie nie rozumiałam, dlaczego ci wszyscy goście, panie i panowie, zwracają się z taką powagą do ukochanej babci, mamusi mojej mamusi. Na co dzień żyliśmy bardzo skromnie. Mieszkaliśmy w południowo-zachodniej części Londynu. Babcia Aleksandra miała na parterze pokój z kominkiem. Ciocia Wanda odwiedzała nas tylko od czasu do czasu, była lekarzem w polskim szpitalu w Mabledon pod Londynem. Polskim dlatego, że głównie przebywali tam Polacy, którym życie zrujnowała koszmarna wojna. Mama przez dobrych kilka lat pracowała jako architekt w londyńskim Town Planning and Housing. Dopiero gdy ojciec został zdemobilizowany, zdecydowali się odkupić malutką firmę wytwarzającą przedmioty z kutego żelaza. Mama mogła zająć się na własną rękę projektowaniem. Po jakimś czasie rodzice postanowili przestawić się na produkcję mebli na zamówienie. Mama znowu mogła wykazać swoje talenty: stolik, przy którym teraz siedzimy, powstał według jej pomysłu... Oboje bardzo ciężko pracowali. W domowym budżecie liczył się każdy pens. Babcia Aleksandra nigdy nie przyjęła angielskiej emerytury socjalnej, ze względów, jak mówiła, moralnych, mimo że prawnie jej się należała. Nie chciała korzystać z żadnych przywilejów. Pamiętam, mama obliczyła kiedyś, że za pieniądze wydane na jedną paczkę papierosów dziennie, po roku możemy wyjechać na wspólne wakacje pod namiot. W domu nikt nie palił. A pierwszą butelkę wina na świątecznym stole zobaczyłam, gdy byłam już kilkunastoletnią dziewczynką.

•

Rodzina była dla nas całym światem, światem polskim. Myśleliśmy i czuliśmy po polsku. Było dla nas najzupełniej oczywiste, że wcześniej czy później wrócimy do Polski. Tak nas wychowali rodzice, którzy sami nigdy nie przyjęli brytyjskich paszportów, cały czas żyli na „dokumentach podróżnych", innymi słowy, uchodźczych. Często ludzie mnie pytają czy my, dzieci, byliśmy wychowywani w kulcie dziadka Piłsudskiego...? Zawsze odpowiadam: nigdy. Dla nas dziadek był po prostu tatusiem naszej mamy i cioci Wandzi. A poza tym mieliśmy przecież dwóch dziadków: ojciec naszego taty, nieżyjący od dawna, zmarł bowiem bardzo młodo, też był naszym dziadkiem! Obu nie znaliśmy i obu kochaliśmy tak samo, i nie miało żadnego znaczenia, który z nich położył większe zasługi dla Polski. Bo z wiekiem oczywiście rozumieliśmy coraz więcej, ojciec mamy jawił nam się w dwu postaciach: jako dziadek i jako Józef Piłsudski. I jak już nieraz mówiłam żałuję, że nie znałam Józefa Piłsudskiego, ale jeszcze bardziej żałuję, że nie znałam dziadka! Najważniejsze jest to, że rodzice przekazali nam cały system wartości, które ten akurat dziadek w szczególności uosabiał. Podobny,

**Rodzina była dla nas całym światem, światem polskim.**

identyczny niemal, wyznawał zresztą mój ojciec, człowiek kryształowy, prawy, uczciwy, patriota. Przy czym nie był to hurrapatriotyzm, lecz krytyczny, a równocześnie tolerancyjny i bardzo, powiedziałabym, praktyczny...

•

Chodziłam w Londynie do żeńskiej katolickiej szkoły podstawowej prowadzonej przez urszulanki. Źle się w niej czułam. Początkowo nie znałam nawet angielskiego, a w każdym razie niewiele rozumiałam. Szybko, jak to dziecko, nauczyłam się języka, ale na każdym kroku podkreślałam, że jestem Polką. Otoczenie tego zupełnie nie pojmowało: urodziłam się przecież na wyspie, tu mieszkam i nie czuję się Angielką? A ja nie tylko nie czułam się, nie chciałam nią być! Jako natura niezależna, bywało, że dość gwałtownie broniłam mojej polskości, często dochodziło do konfliktów na tym tle. Pierwszy raz pojechałam do kraju na wakacje, gdy miałam piętnaście lat. Odwiedziłam rodzinę w Poznaniu i w Warszawie. Wróciłam zachwycona. W Polsce czułam się jak u siebie. Wiem, że było to uczucie romantyczne, sienkiewiczowskie, ale jakież w końcu naturalne, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich wzrastałam. Uczyłam się dalej, wybrałam podobnie jak mama, a później mój brat Krzysztof, studia architektoniczne. Zarabiałam na nie, pracując jako kreślarka. Po trzech latach nauki, taki tam jest system, miałam rok praktyki. Wyjechałam do Rzymu. Próbowałam szukać swego miejsca na ziemi, bo w Anglii jakoś nie potrafiłam się odnaleźć. Postanowiłam kończyć studia w Kanadzie. W Ottawie żyłam bardzo oszczędnie, miałam 30 dolarów na tydzień, 18 płaciłam za mieszkanie. By zaoszczędzić 50 centów na autobusie, chodziłam piechotą w czterdziestostopniowy mróz kilka kilometrów na uniwersytet. Po dyplomie wyjechałam do Paryża. Pracowałam tam w biurze architektonicznym i odkładałam, ile mogłam, z myślą o powrocie do Polski. Dojrzewałam już do tej decyzji. Nie była łatwa, może nawet szalona. Kiedy okazało się jednak, że mogę w Polsce prowadzić badania sponsorowane przez British Council, nie wahałam się. Miałam dwadzieścia dziewięć lat i nie chciałam dłużej siedzieć na walizkach.

•

Miałam zamiar pisać o architekturze rodzimej, o polskich dworach, studiowałam historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedy niewiele miesięcy później wybuchła „Solidarność", zagarnęła mnie od razu. Znajomy, Krzysztof Śliwiński, zaprowadził mnie do organizującego się właśnie biura prasowego „S". Znałam języki, mogłam być przydatna, wielu dziennikarzy z zagranicy przyjeżdżało wtedy do Polski. Przedstawiono mnie Januszowi Onyszkiewiczowi, ówczesnemu rzecznikowi prasowemu „S". Zostałam jego asystentką. Wydarzenia toczyły się błyskawicznie. Miałam już wtedy polski dowód tożsamości. Musiałam, jak wszyscy inni, starać się o paszport. Planowałam wyjazd do rodziców na święta 1981. Stan wojenny oczywiście przekreślił te zamiary. Janusza internowano. Wyszedł dopiero w przeddzień Wigilii następnego roku. Postanowiliśmy się pobrać. Nie zdążyliśmy.

*Joanna Jaraczewska, wnuczka Marszałka, Londyn, lata pięćdziesiąte*

*Patera kryształowa z domu w Sulejówku, jeden z niewielu ocalałych stamtąd przedmiotów*

*Jadwiga i Wanda Piłsudskie przed wojną*

17 kwietnia 1983 roku, po uroczystościach z okazji 40. rocznicy powstania w getcie, wzięli go wprost z ulicy na Rakowiecką. Postanowiliśmy wziąć ślub w więzieniu, prokuratura wyraziła na to zgodę. Mama przysłała mi z Londynu kremowy kostiumik z delikatnego lnianego żakardu i... zawiadomienie o uroczystości wydrukowane po polsku. Pozwolono nam, oprócz świadków, którymi byli siostra Janusza, Anna Bogobowicz i Krzysztof Śliwiński, zaprosić do gabinetu naczelnika więzienia dwóch gości, z mojej strony była to stryjenka, ze strony Janusza jego ojciec. Potem pozwolono nam spędzić wspólnie godzinę w więziennej rozmównicy, oczywiście w towarzystwie oficera śledczego. I Janusz wrócił do celi dzielonej z Aleksandrem Małachowskim. A ja noc poślubną spędziłam ze stryjenką Romaną Jaraczewską...

•

Zawsze pragnęłam mieć dużo dzieci, nie umiem tego wytłumaczyć, bo nie należę do osób szczególnie cierpliwych, łatwo wpadam w irytację, bywam szorstka. Chociaż oczywiście macierzyństwo bardzo mnie zmieniło. Mąż też marzył o dużej gromadce. Byłam w ciąży z Wisią, termin porodu wypadał na początek listopada, mąż pół żartem, pół serio zabronił mi wydawać na świat dziecko siódmego, bo to... rocznica rewolucji październikowej. Ja sama bałam się, że urodzę jedenastego, w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, co byłoby już nieznośnie symboliczne... Witosława, kochane dziecko, pojawiła się ósmego listopada 1983 roku. Januszowi wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu dali paszport, baliśmy się wyjeżdżać do Londynu, na święta do rodziców, ponieważ całkiem niedwuznacznie zachęcano nas wówczas do pozostania na emigracji. Jechaliśmy więc z duszami na ramieniu. Następne z kolei nasze dziecko: Staś urodził się po czternastu miesiącach, w styczniu 1985 roku. Ciąża z Wandzią była podobnie jak poprzednie bardzo nerwowa, męża stale zamykano na kilka godzin, czasem na kilka dni przed wszystkimi ważnymi datami, przed pierwszym maja, jedenastym listopada. Nasza druga córeczka urodziła się w maju 1987 roku. Z Danusią była prawdziwa heca, pierwszych bóli dostałam podczas nabożeństwa w katedrze św. Jana w intencji ojczyzny, jedenastego listopada 1988 roku. Urodziłam ją... dwunastego o pierwszej w nocy. I ostatnie nasze szaleństwo, Andrzejek, przyszedł na świat 10 grudnia 1992 roku. Nazwaliśmy go imieniem mego ojca, który zmarł w Warszawie dwa miesiące wcześniej. Tata nie zdążył już nacieszyć się Polską. Wrócili z mamą, ciocią i bratem do kraju tak szybko, jak to było możliwe: jesienią 1990 roku.

**Ojciec mamy** jawił nam się w dwu postaciach: jako dziadek i jako **Józef Piłsudski.**

•

Zwykle, wcześniej czy później, pada pytanie: jak to jest być córką czy wnuczką wielkiego Po- ▶

# Żyję na własny rachunek

laka? Bywa to wspaniałe, a z drugiej strony bardzo, bardzo trudne. Bo, niestety, zdarza się, że ludzie, czasem nawet bezwiednie, przekraczają tę delikatną linię, za którą jest już nasza prywatność, ba, intymność nawet. Rodzice nasi dołożyli wielu starań, byśmy z bratem rośli w normalnej atmosferze, by legenda Piłsudskiego nie ciążyła na naszym życiu. Wpajali nam od maleńkości, że każde z nas musi je przeżyć na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Bardzo staram się pamiętać o tym, wychowując własne dzieci. Bywam nawet dla nich surowa, wymagam wiele, właśnie tego poczucia odpowiedzialności za siebie, za swoje czyny, ale także za innych. I niech nie zabrzmi to górnolotnie, za kraj, którego są cząstką. Wiem, że zapewne mieliby znacznie łatwiejsze, a może nawet przyjemniejsze życie, gdybym nie wymagała od nich liczenia się z innymi, wrażliwości na sprawy nie tylko ich dotyczące. Ambicji zawodowych w stosunku do nich nie mam, chcę aby byli po prostu przyzwoitymi ludźmi. Naszej rodzinie, i to mnie nawet nie dziwi, otoczenie przygląda się bacznie. Czasami słyszę ogromnie nietaktowne pytania, docierają do moich uszu bezlitosne komentarze. Niedawno dosyć głośna była sprawa listów pisanych jakoby ręką dziadka do pewnej kobiety. Kupiła je, o ile wiem, Biblioteka Narodowa na jakiejś aukcji. Mama, gdy zobaczyła reprodukowane w prasie fragmenty tych listów, od razu zauważyła, że to nie jest charakter pisma dziadka. Dlaczego przed ogłoszeniem nie poddano ich analizie grafologicznej, trudno pojąć.... Sprawa ma dla nas charakter boleśnie prywatny: jak się może czuć córka dowiadująca się, że tatuś zdradzał, bodaj listownie jej mamusię...? Bywają inne, równie trudne, przynajmniej dla mnie, sytuacje, wtedy, kiedy jestem postrzegana tylko jako wnuczka... symbolu.... legendy.... wielkości... Czasami wydaje mi się, że nie istnieję wtedy jako osoba. Jestem silną indywidualnością, nie lubię nie istnieć, nie lubię być przestawiana z kąta w kąt, jak eksponat w muzeum. Czuję wtedy, że tracę swoją tożsamość, godzę się z taką rolą, bo tak trzeba, ale psychicznie dużo mnie to kosztuje... Choć naprawdę rozumiem i tych ludzi, którzy mnie tak traktują, ich intencje, najlepsze przecież... Nie wiem, czy nie powiedziałam tego zbyt mocno, staram się naprawdę kontrolować....

*Kazujasu Kimura Piłsudski, wnuk Bronisława, brata Marszałka z żoną Japonką Tomako i córkami*

•

Dziadek, który ojcem został dość późno, ogromnie kochał obie córki: Wandzię i Jagódkę. Był czuły, tkliwy, i co tu dużo mówić, rozpuszczał je niekiedy niemiłosiernie... Pod tym względem trochę przypomina mi męża, który też dość długo czekał na swoją pierworodną. I też, podobnie jak dziadek, świata za dziećmi nie widzi. Jest jako mąż... ojciec, cudowny, wspaniały. Ma w sobie taki łagodny spokój, kojącą ciszę wewnętrzną... Bywa niezwykłym wprost oparciem dla mnie, zwłaszcza kiedy mi puszczają nerwy... Wraca do domu, wiem, że jest zmęczony, i natychmiast przejmuje ode mnie dzieci... Mówi: zostaw, ja to zrobię, idź odpocznij... Ogromnie mi imponuje jego mądrość życiowa, życzliwy stosunek do świata. I jeżeli jestem o kogoś zazdrosna, to o... kobiety w ciąży, na ich widok Janusz jest zwyczajnie rozanielony. Mija właśnie czternaście lat od naszego ślubu, gdy myślę o tych latach, dochodzę do wniosku, że nie zmieniłabym w nich niczego, dosłownie niczego. Pamiętam, jak któregoś roku, mąż był wówczas ministrem obrony narodowej, postanowiłam 15 sierpnia, w rocznicę „cudu nad Wisłą" zabrać dzieci na trybunę honorową. Wydawało mi się, że będzie to wymowny symbol ciągłości, czy ja wiem zresztą jak to nazwać. Stoimy więc na podwyższeniu, żołnierze defilują, orkiestra gra. A tu nasze najmłodsze dziecko, dwulatka, woła: siusiu! Co robić? Zejść z trybuny ani ja, ani tym bardziej mąż, nie możemy. Proszę więc szeptem jego adiutanta, by pomógł wyjść z tej opresji. Oficer poszedł z małą pod krzaczek, bo przecież najbliższa toaleta w odległości hotelu... Mąż ze stoickim spokojem zniósł tę niecodzienną, bądź co bądź sytuację...

•

Losy naszej rodziny ze strony dziadka Piłsudskiego układały się różnie. On sam miał bardzo liczne rodzeństwo. Jego starszy brat Bronisław za próbę zamachu na cara został w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia zesłany na Sybir. Nie znam dokładnie jego losów, wiem, że w końcu znalazł się na Sachalinie. Był etnografem z zawodu, zajął się badaniem niezwykłego plemienia Ajnu, spisał jego język, pieśni, kulturę. I w końcu ożenił się z córką wodza plemienia. Miał z nią dzieci. Z rodzinnych przekazów wiem, że żyli w dużej biedzie, że posyłało im się tam paczki. Proszę sobie wyobrazić, że nie tak dawno temu, bodaj dziennikarze, odnaleźli w Japonii wnuka Bronisława - Kazujasu Kimura Piłsudskiego. Jest ożeniony z rodowitą Japonką, ma z nią trzy córki. Dla moich dzieci to kuzynki w czwartym pokoleniu. Sam Kazujasu jest obecnie jedynym męskim potomkiem z naszej rodziny, który nosi nazwisko Piłsudski! Czyż nie jest to zupełnie nieprawdopodobna historia, przecież nie wymyśliłby jej żaden scenarzysta filmowy... Mąż, gdy był w Japonii, spotkał się z Kazujasu, przywiózł zdjęcia jego, żony, córek... Prace mojego dziadka stryjecznego Bronisława zostały cudem odnalezione: utrwalone na bębnach wojskowych znajdują się w Muzeum Etnografii w Poznaniu. A niedawno ktoś z Instytutu Historii przyniósł nam paszport Bronisława Piłsudskiego, też znalazł się jakimś dziwnym trafem po tylu, tylu latach...

•

Kilka lat temu założyliśmy i zarejestrowaliśmy Fundację Rodziny Józefa Piłsudskiego. Naszym głównym celem jest urządzenie we dworku w Sulejówku, do którego dziadek był tak przywiązany, Domu Pamięci. Nie jest zresztą wykluczone, że z czasem mogłoby tam powstać muzeum. Nie chcemy przejmować Sulejówka na własność, zresztą jest to, zdaje się, z powodu bardzo zagmatwanej sytuacji prawnej, niemożliwe. Sprawa jest na dobrej drodze, bo gmina zdecydowała przekazać „Milusin" naszej fundacji w dzierżawę wieczystą. Była zresztą gotowa na różne rozwiązania, ale to jest najkorzystniejsze. Dotąd w dworku mieści się przedszkole, gmina już wydzieliła teren na budowę nowego, ma gotowe plany, ma również dać część funduszy. Nasza rodzinna fundacja ma zebrać resztę, chce nam w tym pomagać redakcja „Expressu Wieczornego". Na razie sprawa stoi u konserwatora, bo „Milusin" wraz z kilkoma innymi sąsiednimi domami został wpisany na listę zabytków. Chodzi o to, by zgodził się na wydzielenie tego jednego domu, bo nie bylibyśmy w stanie zagospodarować całego tego kwadratu. Nie mamy przecież biura, sekretarki, pieniędzy, robimy to wszystko rodzinnym wysiłkiem. Pomaga nam nieoceniony pan Waldemar Strzałkowski. Mam nadzieję, że sprawa będzie wkrótce rozwiązana pomyślnie. Z wyposażenia domu w rękach rodziny jest bardzo niewiele rzeczy: stary sekretarzyk babci Aleksandry, dwa krzesła, kawałki starego kilimu, kilka obrazków, dwa czy trzy kryształy. Po wojnie w „Milusinie" mieszkały różne nasze kuzynki i one zebrały trochę sprzętów, mama ma ich spis. Zgłaszają się jeszcze ludzie, którzy coś tam mają u siebie. Wkrótce zaczniemy zbierać fundusze, myślę o tym z pewną trwogą, choć znając hojność moich rodaków, można mieć nadzieję, że „Milusin" odzyska dawny klimat...

**NATALIA IWASZKIEWICZ**

**Zdjęcia: Andrzej Świetlik i archiwum domowe**

**Sam Kazujasu** jest obecnie jedynym męskim potomkiem z naszej rodziny, który nosi nazwisko **Piłsudski!**